Murray Leinster

Uwaga Święty Patryk

(Attention Saint Patrick)

Astounding Science Fiction, January 1960.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Legendy, oczywiście w miarę upływu czasu ulegają pewnemu zniekształceniu. W przyszłości podróże przez kosmos na inne planety, również mogą tu i tam spowodować drobną modyfikację…

Prezydent rządu planetarnego Eire, O'Hanrahan, słuchał swego oficjalnego gościa, z rozpaczą w duszy. Nie miał innego wyjścia, ponieważ Sean O'Donohue był przewodniczącym Komitetu Dail ds. Stanu Planety Eire — z Eire na Ziemi. Gdyby tylko zechciał, mógłby odciąć całe wsparcie dla, nadal walczącej z trudem o przetrwanie, kolonii. Gość był niskim, upartym człowieczkiem, miał ostre, świdrujące oczka, ścięte na jeża siwe włosy, wyraźnie kiedyś były rude, a przede wszystkim był dziadkiem Moiry O'Donohue, która przybyła z nim na Eire, w bardzo niewygodnym statku kosmicznym. To ostatnie generalnie liczyło mu się na plus, jednak w tej chwili wszyscy stali razem na zapadającym się ganku rezydencji prezydenta Eire, a on wydawał się uosobieniem prawa.

– Jestem tutaj od trzech dni – surowo oznajmił prezydentowi, podczas gdy jego wnuczka miała bardzo współczującą minę, – i wydaje mi się, że z dzieją się tu różne shenanigans, które mogą spowodować, że ta piękna planeta nigdy nie stanie się tym, czym powinna — miejscem dla ludzi z Eire na Ziemi, do którego będą mogli wyemigrować, gdy będzie ich zbyt wielu, by zmieścili się na Erin. Tak jak to właśnie zaczyna być już obecnie!

– Mieliśmy pewne trudności… – niespokojnie zaczął prezydent.

– Ta planeta powinna być już gotowa! – oskarżycielsko warknął Sean O'Donohue. – Powinna już czekać na Caseyów, Bradych, Fitzpatricków i innych wspaniałych ludzi z ludu Erse, tak by mogli się tu przeprowadzić i żyć sobie w szczęściu, podczas gdy reszta galaktyki schodzi na psy z tymi swoimi nowomodnymi koncepcjami. To jest podstawowy powód istnienia tej kolonii. Co wyróżniało Erin na Ziemi, gdzie żyli nasi przodkowie i gdzie ich potomkowie depczą sobie nawzajem po odciskach, ponieważ jest ich tak wielu? Nie było tam węży! Od kiedy wypędził je Święty Patryk. Co odróżnia ten świat od innych nadających się do życia planet, na których ludzie wylądowali swymi cuchnącymi statkami kosmicznymi? Tu nie ma węży! Święty Patryk musi mieć wielkie wpływy tam w górze, w Niebie. Wiedział, że jego piękny lud Erse będzie wkrótce potrzebował więcej przestrzeni życiowej, niż ma do dyspozycji na Ziemi. Wyróżnił więc tę planetę i oznaczył ją swoim znakiem tak, by nie istniał na niej nawet ślad wężowego ludu. Nie powinno tu być żadnego stworzenia, z gatunku tych, które skusiły Matkę Ewę! Nie…

– Naszym problemem były dino... – przepraszającym tonem zaczął się tłumaczyć prezydent.

Nagle zastygł bez ruchu. Coś ciemnego, wijącego się, pełnego samozadowolenia i pewności siebie, wypełzało właśnie z zakamarka rezydencji prezydenta. Prezydent Eire oblał się potem. Rozpoznał ciemne stworzenie. Miał nadzieję, że będzie sobie bezpiecznie leżało w

przyjemnym i miłym zamknięciu, dopóki członek Komitetu Dail nie odjedzie. A jego gość ciągle tu był. To był Timothy, miły sześciostopowy czarny wąż, który wiernie i z uczuciem robił co tylko mógł, aby uchronić rezydencję prezydenta przed rozpadnięciem się. Bez niego, niezliczone dziury o rozmiarach mysiej nory, wygryzane przez dino wielkości myszy, z pewnością spowodowałyby jej zawalenie. Prezydent był mu za to niezmiernie wdzięczny, ale zamierzał trzymać Timothy'ego gdzieś poza zasięgiem wzroku gościa. Timothy musiał uciec i jako wierny wąż, lojalny w stosunku do swoich obowiązków, zaczął kręcić się gdzieś po zakamarkach rezydencji prezydenta.

Jak wszyscy na Eire, niewątpliwie znał pobożną tradycję, że Święty Patryk wypędził węże z Eire, a nie należał do tych, którzy lekceważyliby sobie Świętego Patryka. Tak więc wrócił i patrolował tunele wygryzione przez dino w zawalającej się budowli. Oczyszczał je ze wszystkich miniaturowych, podobnych do dinozaurów stworzeń, które mogłyby planować zjedzenie jakichś kolejnych gwoździ. Teraz, z czystym sumieniem, przygotowywał się do drzemki. Ale, jeżeli Sean O'Donohue go zobaczy…!

Pot perlił się na czole prezydenta O'Hanrahana. Kropelki łączyły się i spływały wzdłuż nosa.

– To oczywiste – oznajmił zaczepnie przewodniczący Komitetu Dail, – że jeżeli zejdziemy z dróg tradycji naszych ojców, staniemy się bandą bezwartościowych finagling, albo może nawet protestanckich renegatów! Tutaj dzieją się jakieś shenanigans! Dojdę do tego, obiecuję!

Prezydent nie mógł mówić, kiedy Timothy był na pełnym widoku. Jednak to, co się wtedy wydarzyło, praktycznie można nazwać cudem. Z dziury w darni wypadł nagle dino. Rozejrzał się wokoło z zainteresowaniem. Miał może ze trzy cale długości, czerwone oczy i niebieski ogon, ale był proporcjonalną miniaturką wymarłych dinozaurów z Ziemi. Był to jednak ulepszony model. Dino z Eire zostały wręcz stworzone przez ewolucję — albo szatana — by nękać ludzkich osadników. Zjadały im zbiory, niszczyły domy, pożerały narzędzia, a kiedy już skończyła się wszelka inna żywność, zabierały się również za nich samych.

Ten dino uważnie badał swoje otoczenie. Rezydencja prezydenta wyglądała całkiem obiecująco. Dino ruszył prosto w jej stronę. Ale Timothy — porzuciwszy plany drzemki — rzucił się na dino jak śmigający bicz. Dino zanurkował z powrotem do swojej dziury. Timothy w pościgu, skoczył za nim. Zniknął.

Prezydent Eire odetchnął. Wydawało się, że na kilka minut mógł dać sobie spokój z tą sprawą. Znowu wsłuchał się w głos, kontynuujący ponuro:

– Ja wiem, że będziecie próbowali ukryć te shenanigans, które unicestwiły ogromne ofiary, poniesione przez Ziemię, aby uczynić z Eire prawdziwą kolonię Erse, gotową do tego by chłopcy i dziewczęta Erse mogli się na nią przenieść i mieć miejsce dla swoich dzieci, oraz dzieci ich dzieci. Wiem, że spróbujecie! Ale dopóki się nie dowiem o co tutaj chodzi, ta kolonia nie dostanie nawet skrawka pomocy z Ziemi! Żadnych narzędzi! Żadnych maszyn, które zastąpiłyby te zniszczone! Żadnego zaopatrzenia,

które moglibyście ściągnąć dla siebie! Wasze lodówki powinny pękać od żywności! Są niemal puste! Nie uzupełnimy ich! Nawet statek z pocztą, który opłacamy, by zatrzymywał się tu co trzy miesiące — koniec statku!

– To przez dino – słabo wymamrotał prezydent. – One są dla nas olbrzymim problemem, sir. To wielkie obciążenie dla nas.

– Głupoty i nonsensy! – warknął Sean O'Donohue. – One są nie większe od myszy! Możecie łapać je w łapki! Możecie sprowadzić koty! Proszę mi nie mówić, że te fantastycznie ubarwione małe jaszczurki mogłyby zaszkodzić planecie, specjalnie wyróżnionej i scedowanej przez Świętego Patryka, dla ludu Erse, aby mógł tu dalej rozkwitać! Wyraźny znak! Tu nie ma węży! A przy takim jawnym znaku, jeżeli już o tym mówimy, w to żeby rzeczy poszły źle, musiały być wmieszane shenanigans! I dopóki te shenanigans nie zostaną ujawnione i zakończone — nie będzie dla was dalszej pomocy z Ziemi, wy blaggards!

Niemal wybiegł z rezydencji prezydenta. Zamykane drzwi trzasnęły z hukiem. Moira, jego wnuczka, z sympatią spoglądała na prezydenta. Wyglądał na stłamszonego i przybitego. Otarł czoło z potu. Nie unosił wzroku, by spojrzeć jej w oczy. Wystarczająco przykre było już to, że był prezydentem rządu planetarnego, którego nie było nawet stać na zapłacenie mu należnej pensji, tak że musiał nosić łaty na tyłku, co Moira musiała zauważyć. Gorsze jednak było, że kolonia jako całość, ale to absolutnie kompletnie, wyglądała jak pieczołowicie przechowywane skanseny z chałupami, w Irlandii na Ziemi. A już tragiczne było to, że dla każdego mężczyzny na Eire wydawało się nawet rozpaczliwie śmiesznym prosić dziewczynę z Ziemi, aby się do niego przyłączyła na tak mało obiecującej planecie.

Oszołomiony powiedział:

– Moiro, pozwolisz, że będę już ci życzył dobrego dnia.

Oddalił się, z opuszczoną i podbródkiem wbitym w pierś. Moira obserwowała jak odchodzi. Nie wydawała się być szczęśliwa. Nagle, pięćdziesiąt jardów od rezydencji, wyskoczyło z dziury coś upiornie ubarwionego. To był dino o długości jakichś ośmiu cali, poruszający się na tyle szybko, by można było powiedzieć, że tuż za nim musiało się znajdować coś naprawdę przerażającego. Wylądował niemal o krok przed prezydentem i natychmiast odbił się dalej, biorąc nogi za pas. W tym momencie jednak, prosto na niego, spadło z drzewa coś czarnego i wijącego się, i natychmiast podniósł się obłoczek kurzu, w którym toczyła się jakaś gwałtowna kotłowanina. Mały początkowo obłoczek, robił się coraz większy. Prezydent przyglądał się temu z niezdrowym zainteresowaniem, tak jakby był świadkiem jakiegoś sportowego widowiska.

Moira wpatrywała się w to wszystko, z niedowierzaniem w oczach. Z dziury, z której wyskoczył dino, wychynęła czarna, okrągła głowa. To pewnie był Timothy. Zobaczył jednak, że tym dino już się ktoś zajął. O to właśnie chodziło. Timothy — jeżeli to był Timothy — wycofał się, by dalej przeszukiwać tunele dino w okolicy rezydencji prezydenta.

****

Pół godziny później prezydent opowiadał o wszystkim głównemu doradcy prawnemu Eire. Przemawiał gorzkim tonem:

– A kiedy wszystko się już skończyło, Moira stała na ganku kompletnie oszołomiona i gapiła się, a ten, cholerny wąż wziął tego dino, którego przed chwilą upolował, i zaczął spokojnie zjadać go na obiad. Ale ja już szedłem w jego stronę. A więc ten cholerny wąż, z dino w pysku, grzecznie poczekał aż podejdę. Wyglądało to dokładnie tak, jakby przyniósł tego dino do mnie i czekał na nagrodę, tak jak kot przynosi i pokazuje upolowane myszy komuś, kto według niego będzie tym zainteresowany!

– Święty Patryku! – główny doradca prawny złapał się z przerażeniem za głowę. – I co teraz będzie?

– Myślę – z bólem odparł prezydent, – że powie dziadkowi o wszystkim co widziała, wtedy on wezwie kogoś do siebie i z tymi swoimi świdrującymi oczkami zacznie go przesłuchiwać, a ten biedny *omadhoum* w końcu puści farbę, że tu na Eire wszyscy wiedzą, że Święty Patryk tutaj sprowadził węże i z tego powodu jest tutaj tym bardziej szanowany i czczony. To zaś będzie oznaczało już całkowity koniec statków oraz dostaw żywności i narzędzi z Ziemi, i będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli uda nam się ewakuować, zanim planeta zostanie całkowicie pozostawiona samej sobie.

Na twarzy głównego doradcy prawnego, zagościł wyraz całkowitego braku nadziei.

– A więc wszystko się posypało – stwierdził ponuro. – Wydaje mi się, panie prezydencie, że lepiej zwołać posiedzenie gabinetu, aby zapoznał się z tymi faktami.

– I co to zmieni? – zapytał prezydent. – Ja, w każdym razie, stąd się nie ruszam! Zostanę tu, nawet jeśli miałbym być jedynym człowiekiem, który to zrobi. I tak już nic mi w życiu nie zostało, ale przynajmniej jako jedyny człowiek, który pozostał na Eire będę mógł spędzić resztę moich dni waląc dino po łbach, za to co nam zrobiły! – Potem nagle ryknął w desperacji: – Kto wypuścił te przeklęte węże! Jak go dopadnę, łapy mu powyrywam!…

****

Minister Skarbu zerknął przez szparę w drzwiach do pokoju obrad rządu. Stwierdził, że reszta gabinetu Eire już się zebrała. Uspokojony wszedł do środka. Coś poruszyło się w jego kieszeni i wyciągnął z niej, patrzącego z wyrzutem węża. Powiedział do niego:

– Nie bądź znowu taki oburzony! Poszedłeś sobie na spacer w miejsce publiczne, na ulicę. Gdyby Sean O’Donohue cię zobaczył… – Dodał do innych członków gabinetu: – Pozostali dwaj członkowie Komitetu Dail wydają się być dobrymi, uczciwymi ludźmi, którzy nie gardzą dobrym

trunkiem. Jeden z nich przed chwilą — wydaje mi się, że to stoczniowiec — chciał trochę zmienić scenerię od tej którą można obejrzeć przez dno szklaneczki. Wziąłem go więc na spacer. Pokazałem mu bandę dino trenujących skoki na czterech łapkach i próbujących podrzucić jednego z nich na dach, do wylotu rynny, tak by mógł odgryźć parę kawałków i zrzucić je reszcie na dół. Mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, i było to coś naprawdę warte obejrzenia. Facet z komitetu — mówię wam, to bardzo dobry człowiek! — był trochę oszołomiony, ale przyjrzał się znowu i zarzekał się, że cokolwiek złego można by powiedzieć o Eire, to nikt nie może zaprzeczyć, że jej whisky działa dobrze na wyobraźnię!

Rozejrzał się wokoło po pokoju obrad. W listwie przypodłogowej pod wyrzeźbionym godłem planety kolonii znajdowała się dziura. Położył na podłodze obok niej swojego węża. Z wyrazem urażonej godności, wąż wślizgnął się w ciemny otwór.

– A teraz, może ktoś mi powie po co się zebraliśmy? – zapytał. – Od razu muszę zaznaczyć, że jeśli na to potrzebne są pieniądze, to nie ma takich możliwości.

Prezydent O’Hanrahan powiedział chorym głosem:

– Poprosiłem was o spotkanie chyba tylko po to, by wzorem przeklętego Cromwella, nakazać ścięcie tego, kto wypuścił z zamknięcia czarne węże. Jednak prawda wygląda tak, że kiedy siedziały razem w klatce, to wiedziały, że nie odpędzają dino i bardzo martwiło je, iż zaniedbują swoją pracę. Zaczęły więc kopać tunele jak przestępcy w wiezieniu, i szybko wydostały się na zewnątrz. Oczywiście takie wierne stworzenia jak one natychmiast z zapałem przystąpiły do pracy, by nadrobić zaległości w chwytaniu dino. Robią to zresztą nadal. Całkowicie nas zrujnowały, ale przecież chciały dobrze.

Minister Polityki Informacyjnej spytał z niepokojem:

– Co zrobi O’Donohue, kiedy dowie się, że one są tutaj?

– Jeszcze nie wie… na razie – stwierdził prezydent bez specjalnej radości. – Moira nic mu nie powiedziała. Ona jest chyba aniołem! Ale dowie się, z całą pewnością. A wtedy, jeśli nie rozsadzi go wewnętrzna wściekłość, dopilnuje, żebyśmy wszyscy zostali straceni — powolutku, za zdradę ideałów Erse i bluźnierstwo przeciwko Świętemu Patrykowi. – Potem prezydent dodał z czymś w rodzaju tęsknej dumy w głosie: – Wiecie, co Moira zaoferowała się, że zrobi? Powiedziała, że w college’u studiowała biologię, i że spróbuje rozwiązać dla nas problem dino. Czy nie jest kochana!

– Jeśli już zebraliśmy się tu razem – zauważył Minister Sprawiedliwości, – to może dla odmiany chociaż raz spróbujemy wymyślić coś, co jest możliwe do wykonania.

– Potrzeby nam jest dobry shenanigan – nieszczęśliwym głosem zgodził się prezydent. – Ale co by to mogło być? Czy ktoś ma choćby cień jakiegoś pomysłu?

Gabinet rozpoczął debatę. Problem, oczywiście, polegał na tym, że kolonia Erse na Eire była bankrutem. Pierwsi koloniści zbudowali domy, zaorali ziemię, posiali rośliny uprawne — i napotkali dino. Duże, długie na pięćdziesiąt i sześćdziesiąt stóp, szybko się mnożące. Miały olbrzymie

cielska, z niesamowitymi potężnymi szkieletami z kości, do tego wrzecionowate szyje, zakończone nieprawdopodobnie małymi główkami. Miały również długie, szpiczasto zakończone ogony, którymi potrafiły powalić człowieka, przewrócić ogrodzenie, albo narożnik domu, nawet zupełnie bezwiednie, jeżeli po prostu zdarzyło im się iść tą drogą. Nie były za bardzo inteligentne.

To, że dino wyjadały rosnące na polach uprawy, jeszcze było do wytrzymania, chociaż niewątpliwie stanowiło to spore utrapienie. Ale zwierzęta zjadały również same ogrodzenia z drutu kolczastego. Koloniści z początku czekali aż zdechną z niestrawności. One jednak ogrodzenia strawiły. Później, mając do wyboru całe stosy bardziej normalnych artykułów żywnościowych, przerzuciły się na dachy domów z żelaznej blachy falistej. Ponownie koloniści z żądzą zemsty oczekiwali na niestrawność. Przetrawiły także i dachy. Niebawem żarłoczne stworzenia zasmakowały w siekierach — ostrzach, nie trzonkach. Dalej zabrały się za pługi. Kiedy zaczęły gromadzić się ociężale wokół samochodów terenowych i zjadać je na lunch, koloniści nie mogli uwierzyć swoim własnym oczom. Była to jednak prawda.

Zęby dino nie były zbudowane ze zwykłego fosforanu wapnia, tak jak w przypadku innych zwierząt. Pewien chemik amator stwierdził, że były one z organicznie osadzonego karbidku boru, który jest twardszy od każdej innej substancji, poza krystaliczną formą węgla — diamentem. Faktycznie nawet, zęby dino, chociaż organiczne, wydawały się być szczególnie twardą odmianą karbidku boru. Dino były w stanie przeżuwać żelazo. Mogły nawet zjadać stal. Dino mogły rozdrabniać i przełykać wszystko poza stalą narzędziową, wzmacnianą odłamkami diamentu. Ten sam chemik amator odkrył, że zewnętrzne, powierzchniowe warstwy skorupy planety Eire wykazywały niedobór samego żelaza i jego związków. Dino potrzebowały więc żelaza. Teraz już je miały.

****

Duże dino zostały odstraszone przez płonące pochodnie w rękach rozwścieczonych kolonistów. Kiedy przypieczono je dostatecznie dużą liczbę razy, nawet ich malutkie móżdżki w końcu pojęły, że nie są mile widziane. Przewalając się z nogi na nogę poszły sobie w siną dal.

Zostały jednak zastąpione przez mniejsze dino, o rozmiarach zbliżonych do kangurów. One również najpierw wyjadały uprawy. Potem także zapragnęły żelaza. Stalowe kable były dla nich ekwiwalentem selera naciowego, a żelazne rury zjadały tak jakby to było spaghetti. Ich specjalnym celem były instalacje przemysłowe kolonii. Koloniści odpakowali broń. Zaczęli strzelać do dino. W końcu udało się im uszczuplić ich liczbę. Ale co najmniej raz w miesiącu musiano urządzać dzień polowania na dino, i cała ludność musiała brać udział w oczyszczaniu z nich okolic jedynego miasta, Tary.

Wtedy jednak pojawiły się małe dino. Niektóre z nich były malutkie i nie przekraczały dwóch cali długości. Część była nieco większa. Wszystkie jednak wyglądały naprawdę słodko. Dzieci kolonistów chciały z nich zrobić zwierzątka domowe, dopóki nie odkryto, że miniaturowe to one może i są, ale nieszkodliwe, to z całą pewnością już nie. Malutkie ząbki dino, mniejsze niż główka szpilki, ciągle były zbudowane z autentycznego karbidku boru. Dino trzymane jako zwierzątka domowe, żwawo przegryzały się przez drewno i wyciągały gwoździe przy pomocy których zrobiono ich pudełka. Gwoździe potem zjadały.

Następnie, po uwolnieniu się, rozszerzały zakres swojej działalności. One oraz ich przyjaciele pracowicie kopały tunele pod domami kolonistów. Zjadały gwoździe. Zjadały śruby. Zjadały rygle, nakrętki, gwoździe z butów, scyzoryki, guziki od spodni, zamki błyskawiczne, druciane zszywki i gwoździki z obić i tapicerki. wyjadały nawet zrzynki i opiłki metalowe, robiąc wyraźne dziury w konstrukcjach i ruchomych częściach używanych na farmach traktorów.

Co gorsze, okazało się wkrótce, że ich liczebność utrzymywana była przedtem pod kontrolą, przez brak związków żelaza w ich zwykłej diecie. Ich brak prowadził do niskiej liczby urodzeń. Obecnie, po dostarczeniu przez ich niestrudzone zęby dużych ilości żelaza, ochoczo zajęły się cudem rozmnażania.

Przewodniczący Komitetu Dail do spraw Stanu Planety Eire, wyraził się o nich pogardliwie, porównując je do myszy. Dino były o wiele gorsze. Rząd planetarny potrzebował grajka, który by je wywabił, albo najlepiej dwu. Próbował jednak również innych rozwiązań. Zaimportowano koty. Potomstwo kotowatych z Ziemi, nawet przetrwało, ale wystarczyło spojrzeć na sfrustrowane, neurotyczne pyski kotów, aby wiedzieć, że poniosły porażkę. Rząd zakupił i ustawił pułapki. Dino zjadły ich sprężyny i inne metalowe części. Rząd zaoferował nagrody z martwe dino. Ale zasoby dino były niewyczerpane, a zasoby pieniędzy niestety nie. Musiano w końcu z tego zrezygnować.

Wtedy to w porcie kosmicznym Eire, wylądował pewien człowiek, kapitan Patrick Brannicut z Bostonu na Ziemi. Była to jego druga wizyta na tej planecie. Za pierwszym razem dowiedział się o kłopocie. Za drugim przywiózł coś, co nadal wydawało się najlepszym jego rozwiązaniem. Sprowadził na planetę sto osiemdziesiąt dorosłych czarnych węży, dwa tysiące młodych, tego samego gatunku i dwie skrzynie z miękkimi, łuskowatymi jajami, z których wylęgną się, jak gwarantował, również zwierzęta tego samego rodzaju. Dostał za to całą gotówkę, jaka była dostępna na planecie. Rząd jednak był zdesperowany.

Węże zaczęły ścigać dino z gorącym entuzjazmem. Rzuciły się do polowania na nie, na oczach całej przyglądającej się publiczności. Leżały czekając na pojawienie się dino, publicznie pożerały dino, wpełzały do każdej nawet najmniejszej dziury w ziemi, z której wyjrzał dino lub do której uciekał. Były dużo lepsze od pułapek. Nie musiano ich ustawiać, ani opróżniać. Nie potrzebowały zakładania przynęty. Były rozwiązaniem samo-utrzymującym się i nawet samo-rozmnażającym — poza tym jednym faktem, że węże przekarmione stawały się mniej romantyczne niż

wtedy, kiedy były głodne. Po dziesięciu latach rozpowszechniła się opowieść — zainspirowana przez Ministerstwo Informacji — której sens sprowadzał się generalnie do tego, że to Święty Patryk sprowadził węże na Eire, i oczywiste już się stało, że nawet jeśli one nie wyniszczyły dino, to z całą pewnością powstrzymały dino przed wyniszczeniem kolonii. A nadzieja, że Eire przekształci się kiedyś w nowe wspaniałe centrum kultury i tradycji Erse — włączając w to szacunek dla Świętego Patryka — związana była z wiarą, że pewnego dnia węże uzyskają trwałą przewagę.

W pobliżu potu kosmicznego stał przywieziony na planetę pomnik Świętego Patryka. Prezentował go, jak wskazuje na coś swoją biskupią laską, spoglądając w dół na grupę węży znajdujących się w pobliżu jego stóp. Rzeźbiarz zamierzał sportretować Świętego Patryka, nakazującego wężom, aby wynosiły się do diabła z Eire. Ale na Eire tradycyjnie uznawano, ze przedstawia Świętego Patryka mówiącego wężom, by rosły i rozmnażały się.

Nikt jednak nawet nie ośmielił się powiedzieć tego Seanowi O'Donohue! W pewnym sensie, była to już zamierzchła historia, ale bezsprzecznie był to też ciągle fakt aktualny. W dniu alarmowego spotkania gabinetu, przekształcił się on również w fakt budzący przerażenie. Bez węży planeta Eire nie mogłaby być zamieszkiwana przez ludzi, z powodu małych dino. Tylko że Republika Eire na Ziemi z oburzeniem pozbyłaby się każdej kolonii, na której żyłyby węże. A kolonia nie była jeszcze gotowa na przejście na samowystarczalność. Gabinet ponuro debatował nad tą kwestią. Byli zbyt zniechęceni, aby móc zrobić coś więcej poza debatowaniem. Na szczęście Moira — kochana — zajęła się prowadzeniem badań.

Były to typowe badania świeżego absolwenta po laboratorium biologicznym w college'u. To nie obiecywało zbyt wiele, sama o tym dobrze wiedziała. Dawało jej to jednak wymówkę, by mogła z niepokojem i nadzieją w sercu rozmawiać z prezydentem, kiedy zabrał Komitet Dail na Wyspę McGillicuddy'ego, aby obejrzeć żyjące tam wielkie dino, podczas gdy cała ludność ponownie próbowała zabrać gdzieś z widoku wszystkie węże.

****

Większa część wyspy rozciągała się o dwie mile od kontynentu, nazwanego na pamiątkę Hrabstwa Kerry na Ziemi. W jednym jej punkcie odległość tę znacznie zmniejszał wystający cypel, i dlatego kiedyś zbudowano tam groblę, którą prowadziła droga. Zbudowano ją z dużym trudem, i z równie dużym trudem zniszczono.

Prezydent opowiadał o tym, podczas rejsu łodzią, która przewiozła członków komitetu na wyspę.

– Duże dino – mówił ze smutkiem, – rozdeptywały płoty i domy, zjadały dachy i traktory. Nie można było na to pozwolić. Odpędzaliśmy je przy pomocy ognia, ale wkrótce ponownie wracały. Można było je również

zabijać, ale co potem zrobić z tyloma tonami padliny? Trzeba pamiętać, że dorosłe samce osiągały sześćdziesiąt stóp długości, a najmniejsze niedojrzałe samice dobiegały czterdziestu. Nie uwierzyliby państwo jak duże były wykluwające się młode! One były naprawdę poważnym wyzwaniem, w pierwszym okresie istnienia kolonii.

Sean O'Donohue parsknął. Cały się najeżył. Wraz z pozostałymi dwoma członkami komitetu, został wyciągnięty z miasta Tara. Podejrzewał, że za jego plecami dzieją się jakieś shenanigans. Tak zresztą właśnie było. Jego współpracownicy wyglądali na wczorajszych. Koloniści potraktowali ich bardzo serdecznie, a oni nie byli tak zapalonymi przywódcami ludu Erse, jak O'Donohue. Jeden z nich był właścicielem stoczni, drugi producentem maszyn precyzyjnych, i zostali wybrani do Dail bez żadnych specjalnych powodów. Przybyli na ten piknik, w dużej mierze po to by oderwać się trochę od swoich codziennych kłopotów i rodzin. Braki w narzędziach precyzyjnych, były kłopotem dla nich obu, ale udało im się całkowicie o nich zapomnieć.

– Zbudowaliśmy więc groblę z drogą – wyjaśniał dalej prezydent O'Hanrahan. – Spędziliśmy potem i otoczyliśmy wszystkie wielkie bestie, jakie udało nam się znaleźć — poganiając je przy pomocy ognia — zagoniliśmy je tutaj, a potem zniszczyliśmy groblę. Tak więc siedzą teraz na Wyspie McGillicuddy'ego. Na szczęście nie potrafią pływać.

Łódź dotknęła w końcu lądu — skaliste, mało zachęcające wybrzeże. Główny doradca prawny i minister skarbu zeskoczyli na brzeg. Pomogli członkom komitetu wydostać się z łódki. Ruszyli dalej. Prezydent chciał pójść za nimi, ale Moira zatrzymała go, mówiąc z niepokojem:

– Zaczekaj chwilę. Mam ci coś do powiedzenia. Ja… powiedziałam, że muszę przeprowadzić parę eksperymentów na dino. Wykonałam je. I czegoś się dowiedziałam.

– Już to zrobiłaś? – zapytał prezydent. Ton jego głosu jednocześnie był pełen podziwu i desperacji. – Jesteś naprawdę kochana, Moira, ale…

– Zastanawiałam się… Zastawiałam się w jaki sposób one potrafią znaleźć żelazo – powiedziała Moira pocieszająco, – i dowiedziałam się tego. Potrafią wyczuć jego zapach.

– Tak, naprawdę to umieją? – stwierdził prezydent z czułością i szacunkiem. – Muszę ci jednak powiedzieć, Moiro, że…

– I potrafię to udowodnić! – rzuciła, spoglądając badawczo w jego twarz. – Jeżeli zmieniasz bodziec i okaz reaguje, to znaczy, że jego reakcja jest również możliwa do zmiany. A więc stworzyłam metal o silniejszym zapachu.

Prezydent O'Hanrahan zamrugał w jej stronę oczyma.

– Po prostu… podgrzałam go – wyjaśniła Moira. – Wiesz przecież jaki intensywny zapach ma gorący metal. Rozgrzałem stalową szpilkę i natychmiast ze wszystkich dziur w ścianie zaczęły wyłazić dino. Zapach je przyciągnął. To naprawdę było zadziwiające.

Prezydent spoglądał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– To jest… To wszystko co miałam czas wypróbować – broniła się Moira. – To było wczoraj popołudniu. Potem był ten oficjalny obiad. Musiałem na niego pójść. Pamiętasz! A więc zamknąłem dino…

– Kochana Moiro – delikatnie powiedział prezydent O'Hanrahan, – Nie da się zamknąć dino. Przegryzają się nawet przez stalowe sejfy. Drążą tunele i gniazda w prądnicach elektrycznych. Nie uda ci się zamknąć dino, kochanie.

– Ale ja to zrobiłam! – upierała się przy swoim. – Zresztą ciągle siedzą zamknięte pod kluczem. Zaglądałam do niech tuż przed rozpoczęciem naszej wyprawy.

Prezydent spoglądał na nią bardzo nieszczęśliwym wzrokiem.

– Moiro, między nami nie miejsca na shenanigans! – Potem powiedział: – Czy nie zaszła tu czasami jakaś pomyłka? Trzymać w zamknięciu dino, to tak jakby próbować umieścić światło księżyca w butelce, albo opisać kolor oczu Moiry O'Donohue, albo... – Przerwał na chwilę. – Jak to zrobiłaś?

– Tak samo jak zwykle trzyma się różne okazy – odpowiedziała mu. – Kiedy byłam w college'u przeprowadzaliśmy eksperymenty na żabach. One są zmiennocieplne tak samo jak dino. Gdyby pozwoliło im się poruszać, to same by się poraniły, próbując uciec. A więc wkłada się je do lodówki. W pojemnik na warzywa. Nie zamarzną tam, ale stają się... zapadają w letarg i drętwieją. Po prostu tylko leżą bez ruchu, zanim ponownie się ich nie ogrzeje. Do temperatury pokojowej.

Prezydent planety Eire gapił się na nią zbaraniałym wzrokiem. Szczęka opadła mu na dół. Tylko mrugnął oczyma, ponownie, i jeszcze raz. Potem tryumfalnie wrzasnął. Skoczył do przodu i złapał Moirę w ramiona. Wycałował ją gruntownie.

– Kochana! – powiedział załamującym się głosem. – Nie wychodź stąd, popłyniemy tą łodzią z powrotem na kontynent! Muszę natychmiast wracać do Tary! Zrobiłaś to, moja kochana, zrobiłaś to, i to jest wielki dzień dla Irlandczyków! To jest nawet wielki dzień dla Erse! Dzień twoich urodzin będzie świętem na tej planecie, jeszcze długo po naszym ślubie, nawet wtedy gdy nasze wnuki będą już myślały, że ja byłem równie dużym utrapieniem jak twój dziadek Sean O'Donohue! Będziemy mieli piękny, wielki ślub...

Znowu ją pocałował, zawrócił łodzią i w bryzgach wody ruszył w kierunku stałego lądu. Od czasu do czasu pokrzykiwał z radości. Ale znacznie częściej ochoczo ściskał Moirę. Ona sama usiłowała przybrać wygląd mocno zakłopotanej, zdecydowanie jednak raczej wyglądała na bardzo zadowoloną.

****

Pozostawiony za ich plecami, Komitet Dail do spraw Stanu Planety Eire, badał Wyspę McGillicuddy'ego. Obejrzeli wiele dużych dino — sześćdziesięciostopowych, pięćdziesięciostopowych — i do tego całą chmarę pomniejszych. Dino przechadzały się dostojnym krokiem po całej wyspie, bez żadnego widocznego celu. Od czasu do czasu wyciągały w górę długie zwężające się szyje z pokracznie małymi główkami, by

odłamywać liście, kropka w kropkę podobne do liści palmowych. Również od czasu do czasu, bez widocznego entuzjazmu, któryś z nich bełtał zawartość różnych pokrytych zielonym kożuchem zbiorników wodnych, najwidoczniej wydobywając z nich jakiś rodzaj pożywienia. Wydawały się nie okazywać żadnych intelektualnych zachowań. Kompletnie nie wykazały też żadnego zainteresowania odwiedzającymi, chociaż jeden z członków komitetu — ale nie dziadek Moiry — lekko zadrżał.

— Śniłem o nich — powiedział żałośnie, — ale nawet kiedy byłem we śnie, nie mogłem w nie uwierzyć!

Dwa młode dino — nie mogły ważyć więcej niż kilka ton każdy — zaangażowały się w powolny konflikt. Obdarzały się nawzajem uderzeniami, które bez trudu powaliłyby słonia. Tak naprawdę, nie były jednak specjalnie zainteresowane walką. Jeden z nich w końcu usiadł i wyglądał na potwornie znudzonego. Drugi zrobił to samo. Wkrótce, z refleksją, zajął się przeżuwaniem kawałka białawej skały. Odgłosy kruszonej skały były wręcz trudne do zniesienia. W końcu dino uwalił się na ziemi. Postanowił chwilę się zdrzemnąć. Jego zęby wycięły w kamieniu głębokie, zakrzywione bruzdy. Producent maszyn precyzyjnych — na Ziemi — lekko zbladł.

– L…lepiej się stąd wynośmy!

Komitet i dwaj członkowie gabinetu powrócili na brzeg. Ale łodzi już tam nie było. Znajdowała się daleko stąd, kierując się w stronę głównego lądu.

– Shenanigans! – oznajmił Sean O’Donohue głosem, który zważyłby nawet kwas siarkowy. – Ostrzegałem go przecież, żadnych shenanigans! Mały śmierdzący skunks, zostawił nas tutaj, żeby pożarły nas dzikie bestie!

Główny doradca prawny odparł porywczo:

– Proszę się trochę pohamować, proszę pana! Jesteśmy jego przyjaciółmi i przypłynęliśmy tutaj tą samą łodzią. Musiało stać się coś bardzo ważnego…

Nie brzmiało to jednak zbyt przekonująco. A zwłaszcza nieprzekonywująco argument ten zaczął wyglądać później, gdy jakaś bardzo opóźniona percepcja, po pewnym czasie, wyzwoliła w malutkich mózgach dino, reakcję na ich obecność. Zdołały w końcu uświadomić sobie obecność odwiedzających. Zaczęły, w swój specyficzny sposób, jak na zwolnionym filmie, coraz bardziej się nimi interesować. Powoli, ociężale, jakby w odrętwieniu, zgromadziły się w ich pobliżu — ekwiwalent stada kilkuset słoni, ubarwionych wszystkimi kolorami tęczy, z malutkimi główkami o żałosnym, ale upartym wyrazie pyska. Długie szyje zaczęły z nadzieją wyciągać się w ich stronę.

– Do diabła – z rozdrażnieniem powiedział minister skarbu. – Tak sobie myślę. W naszych butach, sprężynach naszych zegarków, a może również w scyzorykach, które niektórzy z nas mają w kieszeni, jest żelazo. Dino są złaknione żelaza, i usilnie go poszukują. Zjedzą dosłownie wszystko co im wpadnie w łapy i co ma w sobie choćby najmniejszy posmak żelaza. Oczywiście, taka jest ich natura, ale lepiej weźmy jakieś kamienie i zacznijmy je odganiać, do czasu aż łódź nie przypłynie z powrotem. Albo

jeszcze lepiej, znajdźmy jakieś mocne kije, abyśmy mieli czym walić je po głowach. Panowie, nie pozwólcie im tylko przedostać się nam za plecy!

– No to razem! – ryknął mściwie głos doradcy prawnego. – Brać to! Walić mocno! Spróbujcie tylko ruszyć swoje tłuste zady, żeby zrabować coś z kieszeni spodni tych dżentelmenów, to przekonacie się jak to smakuje.

Łup! Mała główka odskoczyła z rykiem bólu. Ale już kolejny wyciągał z nadzieją łeb do przodu, i jeszcze jeden. Dino nie były specjalnie pojętne. Kiedy łódź przypłynęła z powrotem, trzej członkowie komitetu i dwaj ministrowie rządu, stali już po uda w wodzie. Nadal walili dzielnie w napastliwe łby dino, jednak z widocznym już zmęczeniem. Mimo upływu czasu niestety nie było widać najmniejszego postępu w krzewieniu idei, że dino powinny pójść sobie precz.

Przybyli z kontynentu ludzie wciągnęli ich po kolei do łodzi. Przyznali, że prezydent wrócił do Tary. Sean O'Donohue doszedł do wniosku, że wrócił, by nadzorować jakieś shenanigans. Faktycznie zresztą można tak było powiedzieć. Po drodze na główny ląd Sean O'Donohue wręcz zgrzytał ze złości zębami. Po przybyciu pomocy, dowiedział się, że prezydent zabrał ze sobą Moirę. Zazgrzytał ponownie zębami.

– Shenanigans! – zaczął wywrzaskiwać ochrypłym głosem. – Natychmiast za nim! – Aż tupał nogami ze złości. Jego furia budziła wręcz przerażenie. Kiedy kierowcy samochodów terenowych wyruszyli w powrotną drogę do Tary, Sean O'Donohue był chodzącym małym, zażartym wcieleniem nagłej śmierci i destrukcji, jedynie chwilowo trzymanej nadal na smyczy.

Podczas podróży powrotnej, nawet jego koledzy z komitetu byli w fatalnym nastroju. Jednak jeden z nich nieustannie wyciągał z kieszeni mały kawałek białawej skały, przyglądając mu się z niedowierzaniem. Sam kamień nie był może jakoś specjalnie interesujący. Ot, po prostu zwykły mleczny krzemień. Widoczne były jednak na nim ślady zębów. Jakiś dino, musiał wgryźć się w niego, z taką łatwością, jakby to był kawałek miękkiego sera.

****

Kiedy terenówki wiozące członków komitetu zbliżyły się do Tary, do oficjeli doleciały z oddali słabe odgłosy wiwatów i owacji. Dla ludzi jadących w pojazdach, wręcz niewiarygodnym wydawało się, by ktoś ośmielił okazywać radość w odległości mniejszej niż dwa lata świetlne od Seana O'Donohue, przynajmniej w takim stanie ducha w jakim był obecnie. Owacje jednak trwały nadal. Ba, kiedy samochody wjechały w miejską ulicę, przy której domy stały już obok siebie, wiwaty zaczęły stawać się coraz głośniejsze. Wtedy również zaszło pewne zdarzenie, które jeszcze bardziej wzburzyło przewodniczącego Komitetu Dail.

Samochody zwolniły, ponieważ chodnik był w kiepskim stanie, żeby nie powiedzieć, że go niemal w ogóle nie było. Wzdłuż drogi rzędem rosły

drzewa. Jedna z wiszących gałęzi znalazła się w odległości dwóch jardów od dziadka Moiry. Zwieszało się z niej coś na kształt wspaniałej draperii. Był to czarny wąż. Na Eire! Sean O'Donohue nie mógł go nie zauważyć. Wąż za to kompletnie go zignorował. Wisiał sobie wygodnie na drzewie i z wielkim zainteresowaniem spoglądał w stronę, z której dochodziły odgłosy entuzjazmu.

Śmiertelna bladość twarzy Seana O'Donohue przeszła w bladą lawendę. Zobaczył kolejnego czarnego węża. Ten z kolei wspinał się po pniu drzewa, z taką energią i zdecydowaniem, jak gdyby zamierzał się przypatrzeć się odległemu zgromadzeniu. Terenówki jechały dalej i w pewnej chwili kierowca prowadzącego wozu zboczył automatycznie, by ominąć dwa czarne węże, towarzysko sunące razem w kierunku odgłosów radości. Jeden z nich uprzejmie ustąpił nieco miejsca przejeżdżającym samochodom, ale nie poświęcił im najmniejszej uwagi. Sean O'Donohue zmienił kolor na purpurowy.

Kolejny wybuch owacji. Przewodniczący Komitetu Dail prawie, ale na szczęście nie całkiem, eksplodował jak bomba jądrowa. Droga przed nimi była zablokowana przez ludzi, stojących ciasnymi rzędami wzdłuż poprzecznej ulicy. Samochody trąbiły, ale nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Sztywnymi, chwiejnymi krokami Sean O'Donohue wysiadł, z zatrzymanego siłą samochodu. Wydawało się wcześniej, że nie da się go już bardziej rozwścieczyć, ale jednak okazało się, iż jest to możliwe. W odległości dziesięciu stóp od niego, chodnikiem sunęła samica czarnego węża, z taką pewnością siebie i nieskazitelną dystynkcją, jakby była właścicielką całego worka pieniędzy.

Sean O'Donohue złapał głęboki oddech. W tym momencie jego twarz była już wręcz ciemno-purpurowa. Na ślepo pomaszerował przez tłum stojących przed nim ludzi. Mieszkańcy Tary jakoś zdołali zrobić mu miejsce. Ale wokół niego, po bokach poprzecznej ulicy panował niesamowity tłok. Ze domów wyszli nie tylko wszyscy ludzie, stojąc i czekając na kolejną turę owacji, ale także drzewa były całkowicie zajęte. Przez czarne węże. Wisiały gustownie udrapowane pomiędzy gałęziami, czasami w grupach, po dwa, trzy. Z olbrzymim zainteresowaniem przyglądały się roztaczającej się pod nimi scenerii. Główny doradca prawny, podążający za Seanem O'Donohue zauważył czarnego węża zręcznie wijącego się pomiędzy nogami stłoczonych ludzi — stłoczonych jak gdyby mieli oglądać jakąś paradę — aby dostać się do wysokiego murku, dającego lepszy widok. Za głównym doradcą prawnym szedł zaniepokojony minister skarbu.

Sean O'Donohue przebił się przez szeregi widzów. Dumnie wkroczył na pusty środek ulicy. Nawet nie rozglądał się na boki. Zmierzał prosto w stronę rezydencji prezydenta, aby dopaść O'Hanrahana i udusić go, najlepiej powolutku, w taki sposób by delikwent jak najdłużej pozostał przy życiu.

Jednakże, dokładnie w tej samej chwili rozległ się tak potężny ryk radości, że przebił się on nawet do jego nastawionego jednotorowo, ogarniętego morderczą obsesją mózgu. Odwrócił się, z purpurową twarzą,

gotowy eksplodować kolejnym wybuchem wściekłości, żeby zobaczyć co ten nieprzyzwoity dźwięk może oznaczać.

Zobaczył. Ulicą w jego stronę zmierzała pełnym biegiem, szczupła, żeby nie powiedzieć nawet wychudzona, postać prezesa sądu najwyższego planety Eire. Trzymał on w ręku dużą płytę zrobioną z arkusza żelaznej blachy.

Nie zwalniając tempa biegu, przejechał po niej niebieskim płomieniem spawarki. Wokół niego rozchodził się intensywny swąd gorącego metalu. Przewodniczący sądu mknął jak ranny jeleń. Postawiał za sobą tylko metaliczny zapach. Ale za nim, nieomal tuż za jego plecami, podążało coś jeszcze.

Wielobarwna, tłumna fala, rojących się dino, wypełniała szeroką aleję od krawężnika do krawężnika. Za biegnącym człowiekiem płynęła wręcz rzeka dino, od dwucalowych karzełków, do ubarwionych w purpurowe paski osobników, wyrośniętych do ośmiu cali, potrafiących nawet czasami pokonać kota. Pędziły, ścigając prezesa sądu, roznamiętnione, wręcz wprowadzone w trans, przez zapach arkusza gorącej blachy. Były całkowicie nim zafascynowane. Oszołomione. Nie były świadome zupełnie niczego, poza tym niewypowiedzianie rozkosznym aromatem. Biegły, skakały, podskakiwały, kłusowały i galopowały, z ciągłym skrzeczeniem, podążając za prezesem sądu najwyższego planety.

Ten zaś niemal wpadł na zdezorientowanego Seana O'Donohue. Kiedy go mijał krzyczał:

– Uciekaj stąd, człowieku! Dino tu biegną, hur-ra, hur-ra!

Sean O'Donohue nawet nie drgnął. W tym krytycznym momencie nadal był kompletnie zafiksowany, jakby z klapkami na oczach, z umysłem ogarniętym tylko jedną idee-fix. Potem dotarły do niego dino. Po prostu na niego wbiegły. Był tylko przeszkodą na ich drodze. Skakały jedno przez drugie aby ją pokonać. Przewrócił się i po chwili stał się jedynie pagórkiem w płynącej rzece mieniących się pryzmatycznych barw, podążających za uciekającym prezesem sądu.

Wszystko ma jednak swój koniec. Rzeka dino nie była pierwszym tego typu wydarzeniem w dniu dzisiejszym w Tarze. Tym razem dino wypełniły tylko niewielki kwartał ulicy. Wkrótce przewaliły się nad nim i pogoniły dalej, a Seanowi O'Donohue udało się unieść się do pozycji siedzącej.

Jego buty były w strzępach. Dino błyskawicznie je rozszarpały, aby wyrwać znajdujące się w nich gwoździe. Pasek zniknął zupełnie. Dino popracowały również nad spodniami, wyciągając i odgryzając wszystkie metalowe elementy. Kieszenie były całe porozrywane. Jasne metalowe guziki płaszcza także znalazły swoje miejsce w gardłach dino. Zamków błyskawicznych również nie było. Szelki luźno zwisały po zniknięciu guzików spodni do których były przypięte, także pozbawione wszystkich spajających je razem elementów metalowych. O'Donohue był w stanie jedynie otworzyć usta, zamknąć je, a następnie otworzyć ponownie, i znowu je zamknąć. Wyraz jego twarzy przypominał człowieka ogarniętego delirium.

W dodatku, zanim minister skarbu i główny doradca prawny zdążyli delikatnie go podnieść i odprowadzić na bok, O'Donohue przydarzyła się

ostateczna katastrofa. Węże, które oglądały wydarzenia na ulicy z okolicznych murków, jak również te, które z zainteresowaniem im się przypatrywały wisząc na drzewach, teraz zaczęły sobie uświadamiać, że było to wydarzenie, które dotyczyło także i ich. Wypełzły na środek i zaczęły podążać za niknącą już w oddali procesją, podobnie jak małe pieski i mali chłopcy ścigają paradę cyrkową. Wydawało się jakby z niepokojem mówiły coś do siebie nawzajem, dostojnie przepływając po Seanie O'Donohue, siedzącym w kurzu ulicy, podczas gdy rozwiewały się jego wszelkie złudzenia i rozpadały w gruzy żywione przez niego nadzieje.

Mieszkańcy Tary jednak nawet tego nie zauważyli. Wiwatowali gromko, ochrypłymi od krzyków głosami.

****

Prezydent O'Hanrahan stał z godnością w podniszczonej sali przyjęć swojej rezydencji. Moira wpatrywała się w niego z wyraźną dumą. Dwóch nadal aktywnych członków Komitetu Dail nieswojo rozglądało się dookoła. Zebrał się również gabinet Eire.

– Naprawdę jest mi przykro, bardzo przykro – oznajmił Prezydent Eire, – że byliśmy zmuszeni rzucić wyzwanie rządowi Eire na Ziemi, któremu jesteśmy winni tak wiele. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia. Musieliśmy sprowadzić te czarne stworzenia, aby powstrzymać dino przez zjedzeniem nas, razem z naszymi domami i budynkami. To była rozpaczliwa bitwa na ostatniej linii oporu i po prostu ich potrzebowaliśmy. Z czasem, dzięki ich pomocy, byśmy wygrali, ale właśnie czasu już nie mieliśmy. Dzisiejszego ranka Moira powiedziała mi, co zrobiła wczoraj. Moja ukochana użyła mózgu, który dał jej Bóg, a być może i Święty Patryk szepnął jej coś do ucha. Stwierdziła, że dino muszą znajdować metal, kierując się jego zapachem, a jeżeli ten zapach zostałby zintensyfikowany poprzez zwykłe podgrzanie metalu, to byłyby zupełnie niezdolne, aby się mu oprzeć. I rzeczywiście tak jest. Widzieliście prezesa sądu najwyższego, biegnącego ulicą, z całą hordą dino depczących mu po plecach.

Dwaj członkowie komitetu przytakująco skinęli głowami.

– Zwabił je – mówił dalej prezydent, – do olbrzymiej chłodni, która, jak mi to zarzucał Sean O'Donohue, była zupełnie pusta, ponieważ wszystkie zapasy żywności musieliśmy zjeść z powodu dino. I nie ma żadnego znaczenia, że nadal jest pusta. Od dzisiaj możemy zdobyć żywność uprawiając nasze pola, ponieważ pomieszczenia chłodnicze wypełnione są po brzegi dino, które bezrozumnie znalazły się w środowisku, do którego nie są przyzwyczajone i zapadły… Moira, kochanie, jak to się nazywa?

– W letarg – podpowiedziała Moira, wpatrzona w niego jak w obrazek.

– W letarg – zgodził się prezydent. – Od dzisiaj, jeśli w okolicy zbierze się za dużo dino, po prostu wyślemy kogoś, żeby pobiegł się ulicami z gorącą metalową płytą i zwabił je do chłodni. Mamy już swoich flecistów wywabiających szczury, pomagających czarnym stworzeniom, które tak

wiele dla nas zrobiły. Jeżeli obraziliśmy Eire na Ziemi, poprzez sprowadzenie czarnych węży, to jest nam przykro. Ale ta pomoc była niezbędna — dopóki Moira i niewątpliwie Święty Patryk nie znaleźli dla nas rozwiązania, które mieliście dzisiaj okazję zobaczyć. Jeżeli wyrzekniecie się nas, trudno, zdołamy jakoś wytrzymać! Teraz będziemy już w stanie się wyżywić. Damy radę nawet wykarmić parę dodatkowych gąb. Zawsze znajdą się jakieś statki, które od czasu do czasu będą do nas wpadały, nawet z ciekawości, a my będziemy z nimi handlować. Jeżeli się nas wyrzekniecie, będziemy klepać biedę. Ale czy Irlandczycy kiedykolwiek byli bogaci?

Członek komitetu, producent mechanizmów precyzyjnych, otarł czoło z potu.

– Jesteście bogaci już teraz – oświadczył z rezygnacją. – Powinien pan się tego dowiedzieć. Czy wie pan z czego zrobione są zęby dino?

– Powiedziano mi – odparł Prezydent O'Hanrahan, – że to jest kar… karbidek boru w formie organicznej. Co to znaczy, nie mam zielonego pojęcia, ale mamy tego całą masę!

– To najtwardsza substancja nie licząc diamentu – ponurym tonem stwierdził członek komitetu. Zaryzykowałbym nawet przypuszczenie, że organiczna forma może być od niego twardsza. Używa się go jako surowca do produkcji elementów tokarek i obrabiarek precyzyjnych, i jego cena zbliża się do ceny diamentów przemysłowych — i proponuję panu umowę na zakup każdej ilości jaką macie. Jeśli nie będzie potrzebować tego Ziemia, kupią inne planety. Jesteście bogaci.

Prezydent stał z wytrzeszczonymi oczyma. Potem spojrzał na Moirę.

– Szkoda, że zostaniemy wydziedziczeni – rzekł z żalem w głosie. – Piękną rzeczą byłoby powiedzieć dziadkowi, że Eire jest bogata i może wykarmić więcej kolonistów, a możliwe, że nawet spłacić część nakładów, które dotąd pozwalały nam się tutaj utrzymać. Również piękną rzeczą byłoby, gdybyśmy płacili kolonistom za budowę domów, które dostaliby za darmo po ich ukończeniu. Ale ponieważ Sean O'Donohue jest takim surowym człowiekiem…

Właściciel stoczni podrapał się w głowę. Po drodze do rezydencji prezydenta, zatrzymał się tu i ówdzie. Stosował pewne środki wzmacniające na swoje strapienia. Spoglądał do wnętrza butelki i widział w niej pewne fakty.

– Powiem tak – wyznał ciepło. – To O'Donohue przez cały czas walczył o utrzymanie kolonii, przeciw politykom, którzy chcieli wprowadzić oszczędności. Zrobił karierę na wierze w ten świat. Jeśli osadnictwo zostanie wstrzymane, będzie zrujnowany. A więc, być może przy odrobinie pochlebstwa — biorąc pod uwagę jego desperackie dążenie do znalezienia sposobu na to, byśmy pozostali w przyjaznych stosunkach — czarne stworzenia, czy nie czarne stworzenia…

Prezydent wziął Moirę za rękę.

– Chodźmy, kochanie – powiedział ze smutkiem. – Spróbujemy go przekonać.

****

Przez długie, długie minuty tylko kręcił głową, podczas gdy Sean O'Donohue wręcz szalał nad nim.

– Nawet nie chcę pana widzieć na oczy! – wykrzykiwał Sean O'Donohue głosem, który był samą kwintesencją goryczy. – I Moiry też, jeśli nadal pragnie mieć z panem do czynienia! Nie życzę sobie mieć nic wspólnego z shenanigannin' renegatami i bluźniercami, którzy sprowadzili węże na świat od pradawnych czasów przeznaczony przez Świętego Patryka dla Erse!

W pokoju starego człowieka było ciemno. Pod wszystkimi swoimi osłonami, był tylko małym, patetycznym człowieczkiem. Krańcowo wyzywającym. Nieprzejednanym ponad wszelkie wyobrażenie.

– Renegaci! – oznajmił z oburzeniem O'Hanrahan. – Węże, powiedział pan? Diabelskie węże, które są na Eire! Przyznaję, że mamy pewne oswojone czarne stworzenia, które przy kiepskim oświetleniu i pewnym pańskim uprzedzeniu, mogły spowodować pańską pomyłkę. Ale węże? Równie dobrze mógłby pan nazwać dino jaszczurkami. Dino, które są tym samym co w Irlandii rodzime jeżozwierze — co byłoby obrazą dla jaszczurek.

Od strony łóżka zaległa zdumiona cisza.

– To tylko kwestia terminologii – wyjaśnił surowo prezydent. – Ale przecież to nie nazwa decyduje o istocie danej rzeczy, ale to do czego jest ona przeznaczona! *Actio sequitur esse*, jak mówi znane przysłowie. Nie może pan temu zaprzeczyć! Spójrzmy na dino. Krąży wokół domu człowieka, zjada jego pożywienie oraz jego narzędzia, i dopóki jest żywy nie ma z niego dla nikogo żadnego pożytku. Czy to jest sposób funkcjonowania jaszczurki? Nie, nie jest! Wiadomo jednak, że koło domów ludzi kręcą się jeżozwierze, zjadając trzonki ich narzędzi z powodu zawartej w nich soli, ignorując biednego człowieka, którego pot zawierający sól wsiąknął w nie podczas pracy, kiedy starał się zarobić na utrzymanie rodziny. A kiedy jakaś rzecz zachowuje się jak jeżozwierz, to jest po prostu jeżozwierzem i niczym innym! A więc dino jest jeżozwierzem z Eire, rodzimym dla tej planety, i żaden człowiek nie może temu zaprzeczyć!

– A więc, w takim przypadku, czymże jest wąż? – retorycznie zapytał prezydent O'Hanrahan. – To stworzenie, które pełza po ziemi i zatruwa swym ukąszeniem, kiedy nie kusi pochlebstwami niemądrych kobiet, aby skosztowały jabłka. Czy nasze czarne stworzenia robią cokolwiek w tym stylu? Nie, nie robią! W sposób jawny i otwarty zajmują się swoimi sprawami, schodząc wszystkim z drogi i pozdrawiając każdego, kogo spotkają. Są pracowite i spokojne. Pilnują swoich własnych spraw, polegających na zabijaniu jeżozwierzy z Eire, które nieprecyzyjnie określamy jako dino. To ich praca! Czy kiedykolwiek słyszał pan o wężu posiadającym pracę? Nigdy nie zgodzę się, aby ktokolwiek mówił, że na Eire są węże! I jeżeli ośmieli się pan nadać takie miano uczciwym, przyjaznym, pracowitym zjadaczom jeżozwierzy z Eire, które umożliwiły

przetrwanie kolonii aż do tej chwili, to ja określę pana jako pozbawionego sumienia polityka! Nigdy się na to nie zgodzę!

Zapanowała długa cisza. Potem sucho przemówił Sean O’Donohue:

– Mówi pan, zjadacze jeżozwierzy? Nie węże?

– Nie węże! – wyzywającym tonem powtórzył prezydent. – Zjadacze jeżozwierzy!

– Hmmm… – zamyślił się Sean O’Donohue. – Tak już lepiej. Parę pochlebstw i Dail nie będzie się opierał, żeby to zaakceptować — a Eire na Ziemi bardzo potrzebuje przestrzeni życiowej, która, jak pan powiedział, od teraz będzie tutaj dostępna. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego Moira stoi tak blisko pana?

– Dlatego, że mamy zamiar się pobrać – pewnym tonem oznajmił prezydent O’Hanrahan.

Głos Seana O’Donohue zabrzmiał niemal tak zjadliwie jak zawsze:

– Ale ja absolutnie tego zabraniam – oznajmił ostro. – A przynajmniej do chwili, kiedy nie stanę na nogi, i nie będę mógł osobiście oddać panu jej ręki podczas ślubu, tak jak to powinien zrobić dziadek! Poczekacie te kilka dni, dopóki nie będę w stanie tego zrobić! Zrozumiano!

– Tak jest, proszę pana – powiedział prezydent. Cisza wydawała się wręcz dzwonić w uszach.

– No to, do roboty – warknął Sean O’Donohue. Potem surowo dodał: – I proszę pamiętać — żadnych shenanigans!

****

Główny doradca prawny przyglądał się jak odjeżdżają w swoją podróż poślubną do domku w Ballyhanninch, na Półwyspie Donegal, wcinającym się w Morze Emmetta. Machał im ręką na pożegnanie, podobnie jak reszta zebranych ludzi. Kiedy jednak zniknęli już z oczu, ponuro powiedział do przewodniczącego sądu i ministra skarbu:

– Nie miałem serca, aby wyciągać to wcześniej, ale jest w tym wszystkim pewien diabelnie skomplikowany problem, nad którym musimy zastanowić się, zanim wrócą.

– Jaki znowu problem – ostrożnie zapytał minister skarbu.

– A z wę… zabójcami jeżozwierzy – wyjaśnił główny doradca prawny. – Sprawy kiepsko dla nich wyglądają. Są bezrobotne. Nawet Timothy. Nie ma już żadnych dino, tak by można powiedzieć o nich, że żyją z zabijania jeżozwierzy. To bezrobocie strukturalne. Zarabiały uczciwie na siebie, wykonując pracę, którą znały i kochały. Teraz są bez pracy. Nie ma nic, co mogłyby robić.

Zapanowała cisza. Po chwili mocno zabrzmiał głos doradcy prawnego.

– Znajdę na to sposób! Mamy względem nich dług wdzięczności! Olbrzymi dług, o najwyższym znaczeniu! Nie mogą głodować, to pewne! Czy mają, zorganizować masówki i ustawić pikiety, aby oddana im została sprawiedliwość?

– Ach – powiedział przewodniczący sądu. – Z pewnością znajdziemy jakiś sposób, by załatwić tę sprawę. Tak jak to wczoraj powiedział mi Sean O'Donohue, przy samym dnie butelki, my Erse zawsze możemy polegać na tym, że naszymi sprawami zajmie się Święty Patryk!

KONIEC